



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 661

OSY.

Nr 3.

Polityka galicyjska w dobie wojny.

Napisał

A. POBÓG.

WARSZAWA.

Cena 40 groszy.

66.1

leg. 1027

WOLNE GŁOSY.

Nr 3.

Polityka galicyjska w dobie wojny.

Napisał

A. POBÓG.



WARSZAWA.

Była jedna, jedyna dzielnica polska, która w ostatnich latach pięćdziesięciu posiadała własną samoistność polityczną, czyli t. zw. autonomję, — jedna, która nie zatracala praw i swobód narodowych, ale mogła je rozwijać — jedyna wreszcie, która miała swój program polityczny nie na papierze, lub w podziemnych knowaniach wyrabiany, lecz jawny i publiczny, mogący olśnić i pociągnąć za sobą serca wszystkich Polaków.

Była to Galicja, o której się mówiło, że jest szkołą rozumu politycznego polskiego, więcej bo rodzajem formy doświadczalnej dla polskiej racji stanu — to na wewnątrz, w polityce domowej, a w polityce zewnętrznej, która się uważała i którą można było za taką uważać, iż stanie się Piemontem Polski w chwili odrodzenia sprawy polskiej i rozegrania się losów naszego przeznaczenia.

Staliśmy właśnie u mety, choć jeszcze nie u kresu, kiedy te wszystkie postulaty polsko-galicyskie mają się spełnić, według niektórych nawet już się spełniły. Warto jest przeto rozpatrzyć, czy zapo-

wiedź odpowiada rzeczywistości, czy Galicja nie zawiodła oczekiwań, w jakiej mierze wpłynęła ona czy też dalej wpływać będzie na ukształtowanie się sprawy polskiej i czy istotnie, jeśli już nie program — bo to w czasie wojny bywa niemożliwe — ale rozum polityczny jej przywódców stanął na wyżynie, obejmującej nie dzielnicę, ale całokształt sprawy polskiej.

Jeśli chwili obecnej nie można nazwać dotąd jeszcze kresem rozwijających się wypadków, to w każdym razie jest to już kawał drogi przebieżonej od wybuchu wojny. I albo program galicyjski wygra — i natenczas wzorem Galicji ukształtuje się sprawa polska całkowita w przyszłości, albo też zapowiedzi wygranej są przedwczesne, i w takim razie obrót ogólny sprawy polskiej zmusi polityków galicyjskich albo do likwidacji swego programu, albo też do zrzeczenia się roszczeń dotychczasowego wpływu na sprawę polską.

W jednym i drugim wypadku będzie to kryzys nie rządów polskich w Galicji, lecz rządów pewnych stronnictw, które kierunek swego myślenia pragnęły rozszerzyć i narzucić opinii w całej Polsce.

* * *

Galicja stała się krajem albo dzielnicą po przyłączeniu swem w r. 1772 do monarchji austriacko-węgierskiej. Ale Galicja nigdy przedtem nie była żadną dzielnicą Polski. Skutkiem tego nie wyrobiły się tu żadne nałogi myślenia politycznego, tak właściwe i szczególne dla każdej z dzielnic Polski — Wielkopolski, mazowieckiej Warszawy, nawet Litwy. Nato-

miast administracja i rządy prawie 150-letnie austriackie przygotowały grunt pod specyficzną odrębność myślenia i czucia galicyjskiego. Galicjanin, jako typ polski, przejął się przynależnością swoją do Austrii, bez której rozplynałby się w cechach Małopolanina, lub mieszkańca kresów ruskich.

Tymczasem galicyjskie pochodzenie dawało mu odrębność wobec innych ludów monarchji i swojskość wobec innych dzielnicowych Polaków. Stąd austriackość i polskość nie kłóciły się ze sobą tutaj tak wzajemnie, jak u reszty dzielnic przynależność państwowa i pochodzenie narodowe.

I do dziś dnia każdy mieszkaniec Galicji uważa siebie za Galicjanina, ale i za Polaka, co jest zupełnie odmienne, aniżeli w Królestwie i w Poznańskim, gdzie mieszkanie przynależności państwowej — pruskiej lub rosyjskiej z poczuciem narodowym — polaka uchodzi prawie za obrazę.

Podczas więc, gdy Moskałem lub Prusakiem Polakowi nazwać się nie można, Austriakiem uchodzi, i to w sensie najbezmyślniejszym, bo nie oznaczającym nawet przynależności do Austrii, która jest tylko jednym z krajów monarchji, ale zatwierdzającym konieczność trwania typu takiego, jaki nigdy przedtem nie istniał w Polsce, a który żyć musiał zawsze życiem, zapożyczonym choćby u obcych. Ale ma 150 lat już prawie rozwoju.

Z tą psychologją myślenia galicyjskiego liczyć się trzeba, jeśli się rozważa rolę polityczną w sprawach polskich Galicji.

Pod takim przymusem austriacko-dzielnicowym

rozwijala się od lat stu pięćdziesięciu polskość życia w Galicji. Nie więc dziwnego, że emancypacja narodowa, czyli t. zw. autonomja galicyjska, była zdobyczą tylko częściową dla sprawy ogólnej polskiej, co więcej przyczyniała się raczej do pogłębienia separatyzmu prowincjonalnego, jak posuwała naprzód sprawę ogólnego wyzwolenia ziem polskich.

To rozważanie ogólne nie ma żadnego charakteru rekryminacyi, bo trudno zwalić odpowiedzialność na pięć pokoleń z górą za fakt historyczny, jaki miał miejsce wskutek krzywdy pierwszego podziału—dodajmy najhaniebniejszego, bo wycinającego działły: austriacki już nie z dependencyi, ale z żywego ciała Rzeczypospolitej. Bez uświadomienia sobie jednak układu, jaki posiada ów twór sztuczny czyli Galicja, nie podobna jest zrozumieć i ocenić roli jego późniejszej w całym ugrupowaniu sprawy polskiej zwłaszcza w chwili, jak obecna, która się nie zdarzyła od półtora prawie lat.

* *

Galicja, nie będąc wcale dzielnicą historyczną, bo i nazwa jej nawet nowoczesna wypłynęła z naciągania prawdy historycznej do potrzeby zaboru, i służy dziś tradycją swą księstwa halicko-włodzimierskiego z XIII-go w. jedynie do poparcia pretensyj Rusinów—weszła w obręb monarchji austriackiej, w której każdy z krajów nietylko stanowi całość odrębną państwowo - twórczą, ale układ swój stosunków, a nawet prawo do rozwoju dalszego politycznego czerpie

z praw historycznych, jak Czechy, Węgry, nawet sama Austria.

Z konieczności przeto musiała i Galicja rewindykować także swoją przeszłość historyczną. Ale jaką? Wejść w skład dążeń niepodległościowych, jakie się zbudziły w narodzie po utworzeniu Księstwa Warszawskiego jeszcze bardziej Królestwa Kongresowego, znaczyło to nie więcej, jak wejść w knowania odśrodkowe przeciwko całości monarchji czy to na rzecz Napoleona, czy Aleksandra I. Mogły to być pragnienia patriotycznych jednostek, nawiązujących życie tej dzielnicy do życia całego narodu, ale w praktycznej polityce realnej czy to na polu dyplomacji, czy krajowej nie mogły znaleźć swego wyrazu i były też, jak najsilniej tłumione. Inicjatywa w tym względzie mogła wyjść tylko od góry albo też z zewnątrz. I tak było istotnie zarówno w erze napoleońskiej, kiedy kwestja zwrotu Galicji wpływa w związku z rekompensatami dla monarchji austriackiej na południu, jak i w okresie rewolucji listopadowej, kiedy kwestja połączenia Galicji z Królestwem stała się sprawą ubiegania się o pomoc Austrii w walce z Rosją.

Bo dziś te reminiscencje historyczne zawiesza się na wielki dzwon, jaką sprawy, będące jądrem nowego ukształtowania się Polski i całej Europy, podczas gdy w gruncie rzeczy były to trzecio- lub czwartorzędne manewry i próby dyplomatyczne, w których na dobitkę sama dzielnica i jej obywatele nie odegrali żadnej i to najmniejszej czynnej roli.

Oto jest przyczyna tej bierności, tej pasywności nowo-utworzonej dzielnicy z pierwszego rozbioru w ro-

zwoju sprawy polskiej, więcej, bo w walce orężnej o niepodległość w całym okresie pięćdziesięcioletnim a nawet 75-letnim aż do wielkiego przełomu europejskiego i austriackiego — rewolucji marcowej.

W całym tym okresie czasu rząd austriacki nie potrzebował się liczyć z historycznym układem dzielniczy świeżo przyłączonej, nie potrzebował łamać niczego, bo nic nie było, chyba szczątki i ruiny przestarzałej państwowości Rzeczypospolitej, nie potrzebował szanować dążeń i czynić zadosyć potrzebom, bo te dążenia i te potrzeby conajwyżej wzorowały się na innych krajach austriackich i otrzymywały te same zaspokojenia: w urzędach, sądownictwie, szkole, nawet w t. zw. sejmie postulatowym i wydziale krajowym. Mógł i musiał on conajwyżej odgradzać ją od wpływu rewolucyjnego, płynącego z zagranicy i z Królestwa, ale ciężeniu przeciwdziałać nie potrzebował, bo go istotnie nie było.

* * *

Rewolucja marcowa i „wiosna ludów“ ożywiła Galicję i przerwała jej martwość, lecz nowego życia w nią nie wlała. Był to zresztą i dla samej Austrii tylko krótkotrwały sen o wiosnie, który poświęciła w życiu swoim, wdając się w spór żelazny z Prusami o preponderancję czy panowanie swoje w Niemczech.

Dla przyszłych losów Galicji, jako kraju austriackiego, chyba miała ona to głównie znaczenie, iż rozbudziła umysły, zapłodniła je hasłami wolnościowymi

dni barykad tak, iż stały się one oddane na całe życie zasadom wolności i demokratyzmu. Dała ona pokolenie demokratów i liberałów w Galicji, których ostatni mohikanowie jeszcze za naszej pamięci przed wojną schodzili do mogiły. A imiona Smolki, Hausnera, Ziemiałkowskiego, nie mówiąc o całej plejadzie poważniejszych, są właśnie wskaźnikami tego odrodzenia, które zaczęło się od czasów rewolucji.

Ale życie nowe Galicji dała nie rewolucja marcowa, lecz dopiero sprawa polska.

Zaczęło się od wcielenia w obręb państwa owej miniaturowej republiki krakowskiej. Krótkotrwała o kilkudziesięciu kilometrach obwodu, można powiedzieć w rogatkach jednego miasta zawarta, niepodległa polska Rzeczpospolita mieściła w sobie jednak trochę tradycji odrodzenia z czasów Stanisławowskich choćby z działalności Kołłątaja, i echa kościuszkowskiej walki o niepodległość, i wspomnienia wojsk napoleońskich oraz księcia Józefa Poniatowskiego — i wreszcie ścieranie się interesów mocarstw rozbiorczych na gruncie sprawy polskiej choćby w osobach rezydentów trzech mocarstw, mieszejących się do każdej najdrobniejszej uchwały senatorów krakowskich. Żyła tutaj, choćby jak w rodzinie — i naprawdę rodziną taką był Kraków, a raczej słuchał jakby jednej rodziny — ta sprawa ogólna polska, która z wcieleniem Krakowa rozciągnęła się i na całą dzielnicę Galicji.

Rozciągnęła się i rozszerzyła znowuż nie w formie polityki jednej dzielnicy, czyli kraju austriackie-

go, lecz w formie polityki ogólnej polskiej czyli obowiązującej cały naród.

Był to program autonomji, lecz nie krajowej, opartej na potrzebach rozwoju jednej dzielnicy, lecz *autonomji, opartej na prawach historycznych całego narodu do niepodległości własnej i do własnej państwowości.*

Takim był rdzeń i początek polityki autonomicznej galicyjskiej, zarysowany już zresztą w postulatach do tronu z okresu rewolucji marcowej i zroszonych krwią barykad Krakowa i Lwowa.

Autonomja Galicji, jako sprawa wyzwolenia całej Polski, a nie jako ustrój jednego z krajów austriackich — taki był program pokolenia Smolki i Gołuchowskiego, który po latach pięćdziesięciu zeszedł do programu niepodległości i państwowości Polski na wzór autonomji c. k. galicyjskiej za ery pp. Bobrzyńskiego i Jaworskiego.

Było to zresztą tak jasne. Ponieważ Galicja nie przedstawia kraju pod względem ludności jednolitego, ponieważ nie dawała rękojmi tej siły materialnej i kulturalnej, którą już miały Czechy, a tymbardziej siły politycznej, którą zdobywali sobie Węgrzy — przeto jedyny przedmiot targu politycznego był *naród polski, jego całość i jego dążenie na przyszłość*, którym porękę dawała autonomja. To inna sprawa, że przez tarcia stronnictw i zmianę równowagi w obrębie monarchji były w ciągu lat przeszło dziesięciu między r. 1861 a 1873 nieustanne przesuwania się i przemiany wartości dawanych praw i swobód, od patentu październikowego do konstytucji grudniowej, — istota układu pozostała się zawsze ta sama, w której kon-

trahentem był naród, a potwierdzicielem zgody czyli kompromisu sam monarcha.

I tu jest znowuż różnica pomiędzy twórcami kompromisu, czyli t. zw. autonomji, a jego wykonawcami, którzy na miejscu narodu postawili kraj Galicji, na miejsce osoby monarchy—rząd i biurokrację — pachółków zamiast samego pana.

* * *

Autonomja galicyjska wyszła nie z historii tego kraju albo ludów ją zamieszkujących, ani z ruchów wolnościowych całej monarchji. Ona wyszła z ogólnej sprawy polskiej, jej znaczenie dla dynastji Habsburgów i z porozumienia między tą dynastją a narodem polskim.

Dzisiejsi Galicjanie, czy politycy galicyjscy nie rozumieją, a raczej zapomnieli ten instynkt, który posiadali jej twórcy. Inaczej nie sprowadzaliby swej polityki do spraw dzielnicowych, nawet do spraw monarchji, lecz do sprawy korony, czyli domu panującego. A w tej kolei wytracił ich kierunek polityczny przemożny, który się datuje od upadku Badeniego i zarazem utraty wpływu polskiego na terenie Wiednia. Zamiast Burgu czyli dworu cesarskiego, stali się sługami •rządu każdorazowego i politykę swoją z narodowej przerobili na krajową galicyjską.

Kierunek ten jest dziełem jednego stronnictwa, jednej partji czy jednej opinji, t. zw. krakowskiej, albo stańczykowskiej.

Tylekrotnie już wydawano sąd o polityce gali-

cyjskiej doby autonomicznej, prowadzonej w myśli i w duchu rządów stańczykowskich, że trudno jest uwierzyć, aby z tego kierunku, jak ze źródła, płynęło wszelkie zło zwłaszcza, gdy miał i ma on przedstawicieli ponad miarę przeciętną. Trzeba i należy jednak zawsze przypominać, że nie on jest twórcą autonomji i rozszerzenia praw Galicji, że t. zw. Stańczycy przyszli do gotowego i zajęli przykładem hardzo często praktykowanym w historii to, co było zdobyczą i wysiłkiem ich poprzedników, że sprawowali rządy nie jako zwycięzcy, lecz jako „*beati possidentes*“.

Ale to byłoby najmniejsze, a po części nawet byłoby ich zasługą, iż w porę powstrzymali maximum żądań, wyrażonych w słynnej rezolucji sejmu galicyjskiego z r. 1868, że przyjęli i kontentowali się tem, co było do osiągnięcia i co dało się uzyskać, że wreszcie wzięli na siebie i przyjęli rządy kraju nawet w tych granicach, jakie stworzyła konstytucja grundniowa.

Ale to im musi być poczytane za winę, iż zboczyli z drogi, wytkniętej przez poprzedników dla sprawy polskiej, iż spaczyli zasadę kompromisu czyli ugody z koroną, której nawet nie zawierali, ale której hasło sobie przywłaszczyli — „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“, i że z ugody z koroną zeszli na ugodę z każdorazowym rządem, aby sprawę polską zamienić i zlikwidować stopniowo na sprawę austriacką.

Mówimy na austriacką w sensie takim, jak czeską, węgierską lub chorwacką. Bo każdy z tych krajów trzyma się paktu czyli ugody z koroną. I nikt

w monarchji nie śmie dążeń czeskich, nie mówię już węgierskich, uważać za wrogich interesom państwa. Wręcz przeciwnie, widzimy, że każdy z tych narodów, poczynając od węgierskiego, trzyma się ściśle praw i interesów dynastji Habsburgów, choćby jak Węgrzy, poczynając od sankcji pragmatycznej. Ale nikt i żaden z tych żywych historycznych narodów nie zrzeka się swych praw na rzecz innego kraju lub innej zasady. Wręcz przeciwnie Węgrzy całe swoje stanowisko zawdzięczają walce o to, żeby nie być Ausrjakami, Chorwaci—aby nie być Węgrami, Czesi—aby nie być Niemcami. I ta zasada paktu z koroną nie tylko jest uznane i obowiązuje, lecz nawet ściśle jest dochowywane.

Pokolenie, które przyszło do steru władzy po uzyskaniu autonomji Galicji zrozumiało pakt z koroną w ten sposób, że my Polacy mamy nie być Niemcami, t. j. mówić po polsku, ale mamy myśleć i czuć nie jak Polacy, lecz Austriacy.

I to było nie wykonaniem, lecz nadużyciem paktu czyli ugody między narodem a dynastją, a w skutkach swych okazało się już nie tylko skrzywieniem i spaceniem mądrej zasady politycznej rozumu stanu polskiego, który dał podwaliny pod autonomję całego kraju, ale spaceniem i wynaturzeniem ducha narodowego już nie w jednostkach, lecz w całych masach galicyjskich.

Na tej drodze eksperyment polityczny z autonomją galicyjską doprowadził istotnie do niezachwianego ale przerażającego rezultatu: okazało się, iż żaden ucisk, żadne prześladowanie nie są w stanie Polaków

tak dalece wyzuć z poczucia swych praw, swej przynależności do całego terytorjum i do całego ogółu narodu, wreszcie wyzuć ich i ostudzić do ogólnopolskich dążeń, a zespolić ich z obcą i wrogą państwowością, jak na gruncie tej specjalnie po stańczykowski pojętej i w czyn wprowadzanej autonomji galicyjskiej.

I to znowuż do niedawna mogło uchodzić za frazes lub za argument, ciskany przez przeciwników, gdyby w wojnie bieżącej nie okazało się w całej pełni, iż w Galicji istotnie posiadamy całe szkolnictwa do szkół ludowych po najwyższe uczelnie austriackie z językiem wykładowym polskim, że posiadamy tylko taką samą administrację, że nietylko sfery administracyjno-polityczne, ale nawet całe przedstawicielstwo kraju mamy urządzone tak dalece, że dowolnie możemy przesuwac ludzi z foteli obcych ministerjalnych na przywódców niepodległego—za jaki naród cały nigdy nie przestał uważać się—narodu, że nawet skrajne partie, jak socjalistyczne, mogą dobrowolnie podejmować funkcję administracyjno-polityczne na rzecz Austrii przeciw Polakom.

Trzeba chyba w tym sumarycznym spisie potępienia zrobić jeden wyjątek. Wyjątek ten należy się dla wojskowości, która nigdy o unarodowieniu nie potrzebowała słyszeć, której żeśmy zawsze bez zastrzeżeń i bez wahania oddawali swą siłę, jako przynależną daninę naczelnemu wodzowi tej armji czyli koronie — nigdy zaś rządowi austriacko-węgierskiemu. Otóż ta jedna wojskowość była zdolna a przynajmniej, okazała się gotowa do zrozumienia naszego specjalnego położenia, jako narodu, i w swym zakresie dała nam moż-

ność zaznaczenia swej odrębności i wysunięcia sprawy polskiej przez przyjęcie legjonów na swój żołd.

Nigdy rząd, a tem mniej politycy galicyjscy, którzy ten czyn legjonów, w porę się spostrzegłszy, zagarnęli w swy ręce, a mówiąc trywjalnie, zeskamotowali i dziś chowają się za legjony, jak za taran, którym pragną rozbić nie wroga zewnętrznego, lecz wewnętrznego t. j. Polaków nie z ich obozu.

Ale tej karcie najświeższej, że tak powiemy ostatniej polityki galicyjskiej musimy poświęcić osobno uwagę.

* * *

Póki Galicja rozwijała się w erze pokojowej, słyszeliśmy z polityki jej tylko, że idzie w niej straszna walka partyj, że społeczeństwo galicyjskie demokratyzuje się, co odpowiadało stosunkom w całej monarchji wraz z wprowadzeniem do parlamentu powszechnego głosowania i z połączoną z tem reformą sejmową, że już nie tylko demokraci, ale ba nawet ludowcy przychodzą do steru władzy czyli są w rządzie, ale że ten rząd zwłaszcza wiedeński umie doskonale wyzyskiwać wszystkie właśnie partyjne, a jeszcze bardziej słabostki przywódców — tak że w rezultacie nic się nie zmieniło — po dawnemu, czy ministrem był szlachcic, biurokrata czy nawet chłop, a raczej pan z waszecia.

Owszem z demokratyzmem wyszły tylko na jaw sceny gorszące pośród rządzących — przekupstwa, skandale, prowadzące do wielkich procesów lichwiarskich,

emigracyjnych, po których jedne wielkości z pośród „czystych“ raptem zapadały w przepaść niepamięci politycznej, inne z pośród „brudnych“ śmiało płynęły dalej pod osłoną nietykalności poselskiej albo giejtów bezpieczeństwa i listów żelaznych, specjalnie przez rząd wydanych.

A nad tą trzodą polityczną, jak ciemność po nad wodami, unosił się wiecznie jeden i ten sam duch, ten, którego historia nazwie twórcą marazmu politycznego galicyjskiego, który nazwiskiem swoim robi epokę i rzeczywiście jest epoką i erą dla Galicji — który naprzód nauczał, że zginęliśmy nierządem, i że rząd tylko nas uzdrowi, później wpajał dzieciakom ten rząd w szkołach przy pomocy wykreślania z czytanek wszystkiego, co traciło duchem walki o niepodległość narodu, później zasiadłszy „pod kawkami“ roztoczył szczególną opiekę nad wszelkimi tymczasowemi niepodległościowcami, przygotowującymi powstanie w Królestwie, aby wreszcie dziś po osiągnięciu celu swych marzeń czyli po podboju przez armje zjednoczone Królestwa rozsiadłszy się na fotelu ministra „dla“ Galicji („für Galizien“ jest to ciekawy przyczynek do specjalnie galicyjskiej składni słów i myśli, bo charakteryzuje, że ten minister jest przydzielony do kraju, jak kraj do niego) móc łamać głowę nad urzeczywistnieniem drugiego swego ideału — stworzyć „rządowo-niepodległe“ królestwo Galicji.

Kto on jest? Excellencja Bobrzyński.

Któż bo może o sobie powiedzieć, „na imię mi legion“, bo jest wyrazem legjona Galicjan.

On jeden dziś nie ma wrogów, nie ma nieprzy-

jaciół w Galicji prócz tych może, co są pod opieką wojskowości.

Zadziwiająca jest zresztą zgoda i harmonja między dotychczasowymi za łby się biorącymi stronnictwami i ich wodzem. Zgoda i harmonja, która nie wyklucza zresztą drobnych żarcików w lekkich rozmowach towarzyskich. I tak jeśli więc zapytać ekscelencji prezesa Koła o zdanie co do osoby wiceprezesa NKN-u, to da do myślenia, że to jest zwyczajny mydłek polityczny, natomiast podkreśli z całym namaszczeniem, że jest człowiekiem „czystym“. Natomiast poseł ludu p. Daszyński, oddawszy na publicznem zgromadzeniu honory wiceprezesowi p. Jaworskiemu, jako twórcy wiekopomnego aktu odrodzenia Polski, na drugi dzień w organie swoim przypomni mu aferę z przed trzech lat o przekupstwo.

Podobnież socjalista X, który całe życie walczył z pojęciem ojczyzny i kościoła powiada, że słucha teraz konserwatysty Bobrzyńskiego, ponieważ wierzy mocno czy uwierzył, że to jest „najtęższa głowa“, (nie obawia się już teraz starosty ani żandarmów).

Budująca zgoda, a raczej budujący dobór czy zespół zasiadających ludzi od czasów z przed wojny na krzesłach kurulnych polityki galicyjskiej. Takimi chciał ich mieć i takimi zrobił ich ekscelleneya Bobrzyński, przy pomocy słynnych wyborów galicyjskich. Gdy się czasem zejdą i oglądają owoc dzieła rąk swoich, jak na słynnym posiedzeniu koła październikowym z roku zeszłego w Krakowie robią wrzask i lament, jak po poronieniu. Natenczas wstaje jedna lub druga tęższa głowa i powiada: „Panowie, uspokójcie się! Żle się

stało, ale trzeba się kontentować złem, jeżeli nie można mieć czegoś dobrego. A przedewszystkiem starajmy się wmówić w kraj, że to złe jest dobrem.“ I tak się stało. W miesiąc t. j. po 5-ym listopada wszyscy publicznie chwalili, że to złe, jest dobre — więcej, że jest czemś najlepszem. I ekscelencja Biliński z płaczem dziękował Bogu, że mu pozwolił być uczestnikiem tego wiekopomnego dzieła. I wice-prezes Jaworski wołał do syna, obecnego na sali: „Synu, patrzaj i bierz wzór dla siebie ze swego ojca.“ Nie dodał tylko, że „teraz mogę odejść w pokój,“ bo tak wypadłoby na patetycznego ojca. Owszem, dodał zapowiedź rozwiązania NKN-u, ale po miesiącu odwołał, ponieważ jeszcze pozostały do uregulowania sprawy finansowe, interesy małoletnich, inwalidów i t. p.

Jeśli to jest „farsa,“ to wyraz „polska“ jest tutaj bluźnierstwem.

Nie, to nie jest „farsa,“ a nie ma się siły i odwagi położyć na tem napis: „tragedja polska,“ bo znowuż wyraz polska byłby na tem miejscu niewłaściwym. Połóżmy wyraz „galicyjska“ — i odrazu się uspokojmy i zarazem rozgrzeszemy w sumieniu i w honorze jej twórców i aktorów.

Tak jest to „tragedja galicyjska.“ Jest to koniec wszelkiej polityki narodowej na gruncie tamtejszym przez jej dotychczasowych przywódców. Jest to ruina całego gmachu sztucznego budowania odrodzenia narodu na obcym rządzie i przy obcym rządzie.

Tu jest rzeczywiście brak wyjścia i zamknięcie sobie drogi, zarówno do zespolenia interesu Ga-

licji z interesami sprawy polskiej, jak i, częstokroć ważniejsze pogodzenie interesa narodu polskiego z interesami korony.

I to dwojakie bankructwo polityki galicyjskiej postaramy się uzasadnić.

* * *

Austria miała zawsze interes w podtrzymywaniu sprawy polskiej. Interes ten nie był bezpośrednim, bo bezpośredniego parcia w kierunku krajów polskich monarchja austriacko-węgierska nie posiada. Ale interes ten był pośrednim—szachowanie Rosji w kierunku przeciwnym jej rozpostrzenienia się na półwyspie bałkańskim.

I ten interes był rdzennym, żywotnym dla monarchji austriacko-węgierskiej. Dla niego ważyła ona nawet przyjaźń rosyjsko-austriacką i żadne gniewy, ani żadne dasy Petersburga nie wytrącały ją z kolei zgody habsbursko-polskiej.

Zgoda ta była to zgodność z dążeniami narodowymi polskimi, której wynikiem był czasowy kompromis w sprawie autonomji galicyjskiej, przyczem momentem charakterystycznym, iż najważniejsze zdobycze tej autonomji, jak język polski w szkolnictwie, w administracji, opierały się nie na ustawach państwowych, lecz na reskrypcie monarszym, czyli znowuż na woli Korony.

I nie inaczej rozumiała też to druga strona, zawierająca pakt, czyli strona polska. Tak trzeba też

rozumieć historyczny frazes: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy.“

Ta polityka habsbursko-polska czuła się wykładnikiem interesów nie dzielnicy galicyjskiej, ani nawet jednego odłamu ludności, zajmującego w tej dzielnicy stanowisko przeważające kulturalnie i ekonomicznie, lecz interesów całego narodu polskiego, i do zajęcia oraz uznania tej swej tezy politycznej przez cały naród, t. j. nawet przez obywateli innych dzielnic, stale i konsekwentnie dążyła.

Był czas, istotnie kiedy to stanowisko polityków galicyjskich, było nie tylko uznawane, ale i przyjmowane przez cały naród. Były chwile, kiedy na koło polskie w Wiedniu zwrócono uwagę, jako na reprezentację całego narodu. I był czas niewątpliwie, kiedy za głosem jego cały naród byłby poszedł i powierzył przewodnictwo całego narodu w chwilach krytycznych jego bytu.

Taka chwila była właśnie w dobie naprężenia stosunków europejskich, z powodu zawikłań na Bałkanie, chwila po wypędzeniu Aleksandra Battenberga z Sofji, jak i z powodu afery Schnabla i naprężenia stosunków francusko-niemieckich — prawie lat temu trzydzieści.

I nie ulega żadnej wątpliwości, iż w wojnie europejskiej, która wtedy miała wybuchnąć, cały naród polski stanąłby po stronie trójprzymierza przeciwko Rosji. Żyją jeszcze dziś uczestnicy tych wypadków i wiedzą o przygotowaniach, sięgających nawet na terytorjum Królestwa — i w tych przygotowaniach poli-

tyków z Wiednia popierała zgodnie cała opinia polska.

Być może, na tych to rachubach i obliczaniach z przed lat trzydziestu opierała się dyplomacja centralna, zawiedziona nieoczekiwaną *biernością* Królestwa w chwili wybuchu wojny obecnej. Z całą pewnością zaś ta garść ludzi—bo nawet nie *koło* polskie — która pod przewodem pp. Lea i Jaworskiego zorganizowała się w t. zw. Naczelny Komitet Narodowy i sięgnęła po prymat w polityce ogólnonarodowej oraz po buławę hetmańską w czasie wojny.

Ale co jest lub co mogło być złudzeniem dyplomacji obcej, która wykreśliła rozwój wewnętrzny i samostanny sprawy polskiej w ciągu ubiegłych lat trzydziestu i traktowała naród polski, jako białą kartę, czekającą tylko na tego, kto na niej będzie pisał, to nie wypadało politykom, pracującym w rdzeniu samego życia narodowego polskiego, pochodzącym z tego rdzenia.

Wiemy o tem, i można już dziś nawet pisać o tem swobodnie, że ilekrotnie zanosilo się na konflikt między Rosją a Austrią, Korona zapytywała swoich mężów zaufania i zarazem wodzów polityki polskiej, jakie jest usposobienie narodu polskiego—nie Galicji, lecz całego narodu, a więc i Królestwa. I wiemy to również, ponieważ dziś nie jest to tajemnicą dla nikogo, iż w żadnym wypadku ani dziś, t. j. przed wybuchem obecnej wojny, ani przed laty trzydziestu—żadnych obietnic, żadnych zapewnień i żadnych kombinacyj Polakom z tej strony nie stawiano.

I to było uczciwe, godne wielkiej tradycji histo-

rycznej domu panującego i wielkim zadaniem naszego narodu — stanowisko, które nigdy nie wytrącało z lojalności obywateli kraju Galicji, ale też nie rozporządzało się skórą swych współbraci z pod zaboru rosyjskiego na ryzyko i na odpowiedzialność interesów Galicji.

Czy tak było w czasie przygotowań do wojny dzisiejszej? Na to niech odpowiedzą kierownicy polityczni, nie tylko t. zw. N. K. N., ale też ich moralny i umysłowy filar, excellencja Bobrzyński, który wówczas miał sposobność trzymania steru rządów krajem w swych rękach.

Czy był informowany o właściwym nastroju Królestwa przez ludzi do tego powołanych, którzy to Królestwo mogli reprezentować? Czy ostrzegano go, iż wszelkim przygotowaniom powstańczym Królestwo jest przeciwne, gorzej, bo widzi w tem robotę tych samych sfer, które wywołały ruchawkę rewolucyjną? Czy wyparł się otwarcie udziału w tej robocie, którą jako historyk, miał sposobność potępić, uważając ją za przyczynę upadku Polski, której zresztą zdrowy instynkt narodu nigdy nie odrzucał, tylko pragnął, aby ona wychodziła z potrzeby narodu i szła na jego korzyść?

Eks. Bobrzyński był ostrzegany, wszystko wiedział, nie wypierał się swych dawnych zasad i obowiązków polityki narodowej, ale z drogi i stanowiska zajętego nie zeszedł, owszem, wyzwał całe społeczeństwo do walki ze sobą, bo tego sobie życzył rząd wiedeński.

Wprawdzie wkrótce potem przy okazji reformy sejmowej upadł i byłby już dawno pogrzebany i za-

pomniani w pamięci żywiołów czynnych w polityce krajowej, gdyby burza zbierająca się nad głowami mieszkańców Europy rozeszła się, jak tyle razy to już było.

Na nieszczęście wybuchła wojna i klęska polityczna eks. Bobrzyńskiego została zapomniana. Osoba jego wysuwała się od czasu do czasu, jak duch Banca w chwili, gdy Królestwo miało być zajęte, lub rządzone przez wojsko austriackie. Nareszcie, gdy Austria przynajmniej jawnie wyrzekła się myśli przyłączenia Królestwa, wrócił on do swej roli rządowego przedstawiciela polityki polskiej w Galicji.

* * *

Polityka austriacka zarówno przed wybuchem, jak i po wybuchu wojny nie zaangażowała się w sprawy polskie nie. Jeżeli można zgadywać zamiary mocarstw centralnych na wypadek wojny, to nie posuwały się one dalej po za aneksją i podział Królestwa w tych granicach, jakie wskazały potrzeby wzajemne późniejszym okupacjom.

Polityka polska w Galicji, jeżeli miała iść po linji, wskazanej na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego z d. 16-go sierpnia, nie miała prawa angażować w intesy monarchji spraw innych dzielnic — czyli ogólnej sprawy polskiej. W parę miesięcy już później, po pierwszym rozłamie w NKN podporządkowała ona sprawę polską interesem już nie monarchji austriackiej, lecz jednej kliki — do której weszła zbieranina ze wszystkich obozów, a którą wykształcił

i przygotował sobie w okresie rządów przedwojennych eksc. Bobrzyński.

Ponieważ trzeba się rychło czegoś uchwycić, jak widomego znaku polskości tej polityki, chwycono się legjonów, ich wodza Piłsudzkiego i mimo że legjony i Piłsudzki byli podkomendni w armji austriackiej, a NKN tylko komitetem zaufania jedynej władzy w Galicji czyli t. zw. Oberkommenda—uznali się za *rząd polski* i za *wojsko polskie*.

Tu jest zawiązek owej idei niepodległości i państwowości, która później z Krakowa przeniosła się do Warszawy, i płodzi czy ma spłodzić coraz wyższe twory państwowo-niepodległościowe na wzór NKN i na wzór c. k. komendy legjonowej — radę stanu, sejm i armję polską.

Wszystko, nawet akcesorja przeniesiono z Galicji — ligi, departamenty, denuncjacje i system szpiegowski wewnętrzny, międzypartyjny.

Jest więc nadzieja, że przeniesiono i rozum stanu.

Otóż nie. Rozum stanu pozostał się i utrzymuje nadal główną kwaterę w Krakowie i w Wiedniu, a ekspozytnia jego czyli t. zw. Liga państwowości polskiej jest tak nikła, iż istnieje poważna obawa, że zabraknie tchu do podtrzymania i podniecienia tego nowego ogniska.

Okazało się bowiem, że bez poparcia u góry tak, jak w Galicji, nie można robić polityki u dołu w Królestwie.

Królestwo — i to można otwarcie i bez zastrzeżeń powiedzieć — w politykę galicyjską od początku

wojny nie wierzyło. Nie znaczy tu wcale, aby go losy tej dzielnicy nie obchodziły, wręcz przeciwnie, w najcięższych chwilach najazdu rosyjskiego składało liczne dowody ofiarności i poczucia swej jedności z mieszkańcami Galicji.

Ale w skuteczność akcji czynnej wojskowej, podjętej przez Galicję, musiało mieć wątpliwości i to w dodatku poparte faktami z pierwszego roku wojny, jeszcze mniej miało zaufania do skuteczności akcji dyplomatycznej wydzwignięcia sprawy polskiej na arenę międzynarodową siłami samej tylko polityki galicyjskiej.

A rachuby, a raczej przewidywania te okazały się wcale niepłonne.

Wszakże nawet oglądanie pierwszym tego widomego symbolu niepodległości polskiej — żołnierzy legjonowych, było odmówione Warszawie po wypędzeniu Moskali, wszakże trzymano ich zdala od stolicy kraju z górą rok, a okrągłe *pięć kwartałów*—czyli że w zajęciu Warszawy i wypędzeniu Rosjan z Królestwa, tryumfowała polityka rządów centralnych, a nie polityka galicyjska, specjalnie NKN-u.

I NKN to doskonale rozumiał, ale trzeba było szukać winowajcy! I oczywista było nim Królestwo, cierpiące słusznie wskutek swej orientacji moskalofilskiej. Robotę więc oszczerczą, zastosowywaną wobec przeciwników politycznych w czasie wojny, przeniesiono z Galicji i do Królestwa. Tylko oni są przeciwni odbudowie Polski dla sympatji i konszachtów z Rosją.

Trzebaż jednak było dać coś także i opinii galicyjskiej. Mówimy wyraźnie „dać“, bo w ciągu trzydziestolecia ostatniego deprawacji polityki międzypartyjnej innego układu, jak w formie „do ut des“ — „daje—biore“ opinia galicyjska już nie rozumiała.

Obiecano więc jej Królestwo i to w formie wcielenia do Galicji, i nad urzeczywistnieniem tego planu pracowała znowuż myśl polityczna mężów stanu galicyjskich i przy pomocy dyplomacji, i przy pomocy swych umundurowanych agitatorów.

Królestwo miało być ceną do kupienia sobie dalszego poparcia rządu austriackiego. Mówiono, że taki układ stoi, już jest zawarty, że Niemcy zgodziły się w całości odstąpić Królestwo—nie Galicji wprawdzie, lecz monarchji austriacko-węgierskiej, co na jedno zresztą wychodzi.

Sprawa zatem polska znowuż zeszła do układu aneksyjnego—czyim lub w czyich rękach ma pozostać Królestwo—oczywista, jako zdobycz lub jako łup wojenny, przyłączony mocą oręża.

Bo tego żaden polityk galicyjski nie ważył, iż sprawa polska nie jest to *res nullius*, którą może wziąć w swe posiadanie pierwszy lepszy z okupantów. Że w tym wypadku wygodniej było rozstrzygać na rzecz własnego pana, to znów interes czysto partykularny.

Ale o tem, że Polacy żądają nie nowej okupacji, ani nawet autonomji nowej dzielnicy, choćby nawet jaknajsympatyczniejszej z retrospektywnego punktu widzenia. Lecz, że pragną rozwiązania sprawy polskiej w całej rozciągłości, że gotowi w kierunku jego,

idąc, układać się z każdym, nawet z djabłem czy z Niemcem, byle nie zaprzepaścić Polski raz na zawsze — nie pomyślał o tem nikt z polityków galicyjskich, nikt nie miał odwagi tak kwestji postawić u góry i takie przedłożyć pakta zgody.

To było nie realne.

Więc realnym było każdorazowe rozwiązanie tej sprawy—takie, jakie się nastrocza czy nastroczy w ciągu wojny.

A że najrealniejszym było pójście w kierunku ambicji i apetytu jednego z okupantów, więc wniosek: Polska będzie uratowana, jeżeli Królestwo zostanie połączone z Galicją.

Otóż to, co wydawało się najrealniejszym, w gruncie rzeczy okazało się jednak najbardziej mgławicowym i nieuchwytnym. Czasem wyraz z ust nawet bardzo wysoko postawionych osób okazuje się fikcją i złudzeniem, któremu polityk trzeźwy i realny ulegać nie powinien, bo zanadto ważyć musi siły i faktu, aby ich nie widział.

Siła była tym razem po stronie Niemiec, czego nie wolno było niedoceniać politykom galicyjskim, a faktem było i dla Niemiec, i dla Austrii, i dla jej sprzymierzeńców, że *chodziło o rozwiązanie sprawy polskiej*, a nie o interes polityki galicyjsko-polskiej. I jeśli wiceprezesowi NKN tak dalece imponuje rozum stanu generał gubernatora warszawskiego, generała Beselera, iż stawia go za wzór patriotyzmowi polskiemu, to niechże sam przejmie się choć na chwilę tą wiedzą, tym rozumem i tym patriotyzmem generała pruskiego, który widzi przed sobą całe zagadnienia

polskie, a nie jedną jego część, i to w duchu jaknaj-
ciaśniejszym i jak najwęższym pojmował.

Niemcy ogarniają sprawę polską w całym jej
zakresie: i w Poznańskim, i w Królestwie, i na Li-
twie. Niechże mężowie stanu galicyjscy—jedni jedy-
ni—nie uważają jej za rozwiązaną w swej dzielnicy—
w Galicji i na wzór tej ostatniej nie pragną uszczęśliwić
nim Polskę i całą Europę. A może później nie będą
mieć pretensji do ministrów austriackich, lecz do sa-
mych siebie.

* * *

Myśl polityczna galicyjska rozciągnięcia opieki
nad Królestwem, czyli połączenie Królestwa z Gali-
cją rozwiązała się wobec aktu 5-go listopada czyli ogło-
szenia niepodległości Królestwa.

Wydawałoby się—bankructwo, klęska zupełna.

Nie podobnego — przeciwnie tryumf i radość —
może większa w Galicji, jak w Królestwie.

I pod pewnym względem miano zupełną rację
przynajmniej co do meritum samej sprawy, nie co do
swych zasług.

Myśl niepodległego i samoistnego Królestwa jest
w stosunku do ogółu sprawy polskiej stokroć większa
i głębsza, aniżeli myśl przyłączenia Królestwa do
Galicji.

W stosunku do sprawy polskiej mocarstwa cen-
tralne dały politykom galicyjskim lekcję conajmniej
lepszego pojmowania jej ogólnego znaczenia, aniżeli

to się trafia urzędowym przedstawicielom myśli i polityki polskiej w Wiedniu.

I stał owe dziwne nieporozumienie.

Plakano w miesiącu październiku nad tem, co uważano za klęskę, aby w miesiącu listopadzie radować się z tego samego, co znowuż wydawało się zwycięstwem.

Tylko znowuż ta radość i ten tryumf jeszcze bardziej kompromitowały politykę galicyjską, aniżeli poprzednie lży rozpacz.

Gdy je wylewano nad tem, że nie można było Austrii zrobić prezentu z Królestwa, albo że odwrotnie, Austrija zawiodła Galicję w obietnicach prezentu w postaci Królestwa, to każdy wiedział, że to były czeze dymy.

Ale gdy cieszone się z niepodległości Królestwa, to każdy z tych polityków, który uważał akt 5-go listopada znowuż prawie za swoje dzieło, musiał poczuć się zawstydzonym, gdyż zrozumiał po raz pierwszy, że sprawa polska jest to coś więcej, aniżeli polityka rogatek lwowskich lub krakowskich, że to jest naprawdę wielka rzecz, bo sprawa europejska, skoro dwa państwa ofiarowują choć części Polski taki prezent, jakiego oni nie śmieliby nawet nazwać, ba nawet wykrztusić wyrazu „niepodległość”—rozumie się w stosunku do Galicji, bo ofiarować niepodległość w imieniu Królestwa, Litwy lub Wołynia—czemu nie?

I niech kto, co chce, sądzi w stosunku do tego wyjścia nowego, zaprojektowanego przez państwa centralne, zawsze jest i będzie ono godniejsze od proponowanego przez politykę galicyjską. Ale nie bę-

dzie nigdy tworem ich ducha. Okazał się on znacznie słabszym nawet od wypadkowych, na które złożyły się siły w polityce od mężów stanu galicyjskich niezależne.

Ale co gorsza, bo rozbiwszy całą koncepcję galicyjską, odnośnie do rozwiązania sprawy polskiej, ów akt 5-go listopada odciął od sprawy polskiej i to, co miało być osią jej — samą Galicją.

Tak się mści w polityce, jeżeli zamiast sprawy polskiej ma się na celu partykularne interesy.

Galicja została wzięta za nawias ogólnej sprawy polskiej. Zamiast Piemontu, do którego miały lgnąć inne ziemie, miała się stać jeszcze bardziej ubłogosławioną i jeszcze mocniej wcieloną do monarchji prowincją austriacką.

Trzeba ją było nagrodzić za wierność.

Nazwano to wyodrębnieniem Galicji, a według dowcipnej i przewidującej nomenklatury politycznej, miała ona zostać Małą Polską z Krakowem, obok drugiej Wielkiej Polski, czyli Królestwa z Warszawą.

I nie chodzi nam tutaj specjalnie o tę lub inną gorszą czy lepszą formę ustroju Galicji, nie chodzi nam także o tę lub inną blagę polityczną, zasłaniającą istotę rzeczy. Rozumieją to doskonale sami politycy galicyjscy. Nazwał przecież tę wyodrębnioną Galicję któryś drugą rzeczpospolitą krakowską.

Ale chodzi nam o chwyceniu na gorącym uczynku, jak się mści małostkowość, partykularyzm, drobne ambicje i wielkie intrygi tam, gdzie się nimi chce wymieść ślad wielkiej sprawy, sprawy ogólnie narodowej.

Właśnie taka nagroda, jaka praca. Taki twór, jaka idea pierwotna. Tacy sami ludzie zresztą, jak ich dzieło, które robić będą. I już je robią. Robi się owo wyodrębnienie Galicji na gwałt i z takim samym przejęciem, z jakim przedtem robiło się przyłączenie Królestwa do Galicji, z jakim w Warszawie robi się nowe Królestwo.

Robi się bezmyślnie, ale za to siłami fachowymi — od skarbu, od administracji i, Bóg wie, nie od czego. Tylko nie od myślenia politycznego. To ostatnie w czasie wojny jest przez cenzurę zakazane. I to nie zupełnie. A więc wolno myśleć o tem, aby nierozzerwalną była jedność Galicji z monarchją, aby zachowana była jedność finansowa, wojskowa i ekonomiczna, aby nie narazić na szwank interesów drugiej narodowości t. j. Rusinów. Nie wolno jednak myśleć, czy będzie rozerwana jedność narodu, jedność i wspólność całej sprawy polskiej, czy korzyści administracyjne, finansowe i t. d., powetują straty polityczne i czy nareszcie cały stosunek Korony do narodu polskiego nie będzie raz na zawsze zlikwidowany. O tem może jeszcze w ostatniej chwili — dochodzą takie głuche wieści — pomyśli Korona. Ale czas, aby pomyśleli o tem, aby zawahali się przed tym ostatecznym samobójstwem politycy galicyjscy.

Bo wyodrębnienie Galicji nie wahamy się nazwać samobójstwem sprawy polskiej w stosunku do jednego z mocarstw, od którego ona zależy i na którego losy ona także wpływa. Samobójstwem właśnie wobec Austrii.

Przypuśćmy bowiem nawet, że dyplomacja austrija-

eka uwierzy takim zapewnieniom, składanym przez polityków polskich w Wiedniu, iż polacy galicyjscy przez wdzięczność za rozszerzenie autonomji nie tylko wytrwają, ale nawet utwierdzą się w lojalności: że Królestwo, jako państwo polskie samodzielne, będzie tak wzięte w kluby przez inne mocarstwo, to znaczy Niemcy, że raczej obywatele tego państwa będą wzdychali do autonomii w podległej Austrii—Galicii; przypuścmy, że wbrew doświadczeniu z przeszłości, tu na pograniczu państwa austriackiego nie wytworzy się irrydenta, jeszcze groźniejsze, jak na pograniczu Włoch, jak na pograniczu Serbji lub Rumunji, przypuścmy—choćaż wyliczenie samych tych prawdopodobieństw samobójczych dla monarchji austriacko-węgierskiej, może przyprawić o szaleństwo—; to czy ta monarchja sama nie składa do lamusu dobrowolnie tej broni, jaką miała przeciwko swoim nieprzyjaciołom w sprawie polskiej i czy nie wyrzeka się tego sprzymierzeńca, jakiego miała w narodzie polskim, choćby od wszelkiego wypadku?

Wyodrębnienie Galicii jest rezygnacją dla polityki austriackiej ze wszelkiego wpływu na sprawę polską właśnie tego jaki miała przy pomocy polaków galicyjskich.

I pomyśleć, że polityka służalstwa i fagasowstwa bez wszelkiego rozumienia i doceniania znaczenia sprawy polskiej mogła doprowadzić polityków galicyjskich do zachęcania i popierania takiej idei, która jest wręcz zbrodnią nawet wobec interesów Korony.

Na szczęście, politycy galicyjscy mają jeden jeszcze wyraz, który ich ratuje, który chowają jak klejnot na samym dnie swego skarbcza rozumu polityczne-

go, klejnot starożytny, pamiątkę historyczną, niemal relikwię, powiedzielibyśmy—spuściznę jagiellońską, którą Kraków szczególnie pielegnował, a którą dziś wyciągają i ofiarują w darze Austrii, jak ongi Jagiełło swój pierścień Jadwidze.

Tym klejnotem jest wyraz tryjalizm.

* * *

Idea tryjalizmu jest wzorowana na idei obecnego dualizmu austriacko-węgierskiego i przyjmuje równouprawnienie nie tylko narodowe, ale już i państwowe. Jest więc rodzajem unji personalnej Polski z Austrią pod dynastją Habsburgów takiej samej, jaka istnieje między Austrią i Węgarami.

Nie to, co przeważałoby zasadniczo przeciwko podniesieniu takiej idei politycznej ze strony polskiej, ile trudności, nastroczające się do urzeczywistnienia takiej idei—stoją przynajmniej dotychczas na drodze do urzeczywistnienia tego dzieła.

Trudności te dotychczas pochodziły głównie ze strony Niemiec. Ale istnieją one także i z punktu widzenia sprawy polskiej.

Bezsprzecznie, jeśli które państwo, to monarchja austriacko-węgierska węzłami krwi, dynastji, religją katolicką i rozwojem historycznym jest najbardziej zbliżona do tradycji naszej państwowości polskiej.

Także i misja historyczna tego państwa, będącego zawsze strażnicą kultury zachodniej na wschodzie, zgadza się z tradycją dziejową polską, a sympatyje Węgier, można powiedzieć prawie byt Węgier, ja-

ko narodu samoistnego, ma prawie tyleż do zawdzięczenia Polsce przedrozbiorowej, co Habsburgom.

I to ma niemało za sobą na poparcie idei tryjalistycznej, że rozwój wewnętrzny nowoczesnej monarchji austro-węgierskiej zbliżał się do tego samego kierunku—unji i federalizmu, w jakim rozwijała się zawsze państwowość polska. Można powiedzieć nawet, że monarchja austriacko - węgierska odziedziczyła w spadku po Rzeczypospolitej to samo trudne zagadnienie—pogodzenia w łonie swoim sprzeczności, tkwiących w życiu historycznym kilkunastu i więcej nawet drobnych ludów, w niej żyjących.

Z tego punktu widzenia idea tryjalizmu jest czy może być także ideą Polski.

Inna jednakowoż jest rzecz, jeśli się spytamy, czy tryjalizm, jako zasada polityczna, może włączyć w siebie cały ogół sprawy polskiej, czy może ją rozwiązać, a przynajmniej poprowadzić w kierunku do jej ostatecznego rozwiązania korzystnym.

Naprzód niestety trzeba zauważyć, że obejmuje ona tylko pewną sferę interesów polskich — Galicję i może obcięte jeszcze w dodatku Królestwo. W tem zakresie daje ona pewne plusy, jak państwowy ustroj Galicji, ale zarazem i minusy.

Do takich minusów należy utrata i pożegnanie się nazawsze z myślą zjednoczenia trzech dzielnic. Ale przyznajemy, że taki twór państwowy łatwiej mógłby w sobie wytworzyć ową siłę przyciągania, aniżeli samoistne Królestwo lub wyodrębniona Galicja.

Minus największy zaś jest to, iż Polska byłaby w całości zepchnięta z kierunku rozwoju swego na

wschód i musiałyby ciążyć raz na zawsze w kierunku centralnej Europy. Mowa tutaj nawet nie o sojuszu lub przyjaźni politycznej, bo ten sam przez się rozumie ją. Jedynie o ekspansji żywiołowej—kulturalnej i ekonomicznej.

Tarcia i spory nieuniknione, jak w każdym związku najidealniejszym, jakie już dziś istnieją między Austrią i Węgrami, powtórzyłyby się i z Polską i pochłonyłyby całkowicie jej siły. A tymczasem Polska w centralnej Europie o tyle ma rację swego bytu, o ile stamtąd czerpie swe siły do wyładowania na zewnątrz w innym kierunku. W takim położeniu jest Austrija i Węgry, które prą na półwysep bałkański. W takim samym są Niemcy, które rozpościerają się na wschód i w kierunku oceanu.

Polska zaś musiałyby się zrzec swego rozpościerania się ku wschodowi. Więcej nawet, bo to rozpościeranie się musiałyby pozostawić Niemcom.

Znowuż więc musiałyby albo staczać walkę z Niemcami, do czego układ tryjalistyczny wcale nie zdąża, albo dać się wytrącić z kolei i zginać w zalewie germanizmu.

A pamiętajmy, że ta ekspansja Polski na wschód to nie jest tylko kwestja nowych rynków lub przewagi politycznej—że przeciwnie to jest kwestja stara państwowości polskiej i kultury polskiej na kresach wschodnich, którejżeśmy nie wydali na łup Rosji nawet w okresie stu dwudziesto pięcioletniej niewoli, że to jest kwestja Litwy, kwestja obszarów Wołynia, kwestja kolonizacji krajów, przewyższających swym obszarem obszar samego Królestwa i jeszcze bardziej

kwestja kultury tamtejszych drobnych ludów, któreby zginęły razem z nami, pochłonięte zalewem germanizmu albo moskwicyzmu.

Na to pytanie bowiem dały odpowiedź Niemcy Austrii choć na pewno nie w duchu dla naszych dążeń przychylnym. Tryjalizm nie jest w stanie obronić granicy wschodniej—obronić przeciwko Rosji, a samo się przez się rozumie, że i przeciwko Niemcom.

Te same argumenty, które przemawiały niekorzystnie ze strony niemieckiej na rzecz tryjalizmu, obowiązują także i ze strony polskiej. A są nimi dwa główne: nadto wyciągnięta linja obronna od morza Adrjatyckiego aż po Bałtyckie — to na wypadek wojny z Rosją i powtórę—nieunikniona kolizja interesów niemieckich i polskich na terytorjum wschodnim, które musiałyby spowodować nieustanne tarcie między Austrią a Niemcami. Z tej pierwszej okoliczności wynika, iż bylibyśmy postawieni zawsze w uścisku Niemiec i Rosji tak samo jak się to zdarzyło Austrii przed wybuchem obecnej wojny, czyli inaczej mówiąc, bylibyśmy zdani na łaskę jednego z dwóch przeciwników. Druga okoliczność mogłaby się przełożyć tylko: albo w wojnę między Austrią z Niemcami o Polskę, co jest mało prawdopodobne, albo w rezygnację Austrii z interesów polskich.

Ponieważ uważamy, że w tym razie Niemcy byliby silniejsi, mnsielibyśmy łączyć się z Rosją, co byłoby sprzeczne z interesami Austrii, lub podpaść pod wpływ i zależność Niemiec, czyli tryjalizm nie dałby Polsce tego zabezpieczenia, jakiego głównie wymaga od Austrii sprawa polska.

I w istocie kombinacje tryjalistyczne, jeśli uważać za prawzór takowych związki z centralnymi mocarstwami, nigdy się nam nie udawały. One były tak długo potrzebne, dopóki i Polsce i drugiej monarchji groziło niebezpieczeństwo wspólne od jakiegoś państwa, które raptem wyrosło w środkowej Europie. Takim był chwilowy związek korony polskiej z Czechami za Wacławów i z Węgry za ostatniego z Andegawenów. Obydwa skierowane przeciwko wzrastającej potędze centralnej środkowo-europejskiej w postaci jednej z dynastji panującej w Niemczech albo Zakonowi, który przedstawiał w wiekach średnich ideę Niemiec co na jedno wynosi.

Rozchwiewały się też one szybko, gdyż zamiast obrony i pomocy niosły raczej ze sobą obawę pochłonięcia przez obce dynastje i zatrutę państwowości, a nawet charakteru narodowego dla Polski. I w jednym i w drugim wypadku Polska ratowała się od Czechów—powstaniem narodowym pod wodzą rodzimego króla Władysława Łokietka, od Zakonu unią z Litwą.

Jeżeli bronić tezy tryjalizmu ideą jagielońską, to trzeba pamiętać, iż Polska za Jagielonów tak długo mogła mieć wpływ na środkową Europę—i na Czechy i na Węgry, dopóki od wschodu miała dostateczne zabezpieczenie i obronę w postaci dostatecznie silnej i obronnej Litwy. Kiedy ta ostatnia traciła swą siłę, albo co na jedno wynosi, kiedy przyrosły siły jej przeciwnikom — głównie Moskwy, idea jagielońska umiała zmienić swój front — rzec się wpły-

wu w środkowej Europie, aby bronić Litwy—czyli że na dwie strony zadaniom swoim sprostać nie mogła.

I to samo trzeba byłoby powiedzieć i o nowym państwie tryjalistycznym w środkowej Europie.

Nie zrównoważyłoby ono wcale siłą i potęgą swą państwa tak potężnego, jakim jest Rzesza niemiecka—i nie zabezpieczyłoby obrony i ekspansji interesów polskich ku wschodowi — a więc i od strony Rosji.

Nie byłoby więc zadatkami nowej siły dla Austrii, ani też gwarancją całości i bezpieczeństwa Polski.

* * *

Niemcy nie pragną drugiego państwa silnego i niezależnego obok siebie w środkowej Europie. One pragną państw drobnych i słabych, któreby je, jakby ścianę, otaczały i broniły od wschodu. Byłaby to raczej ściana przyjaźni i sojuszów dyplomatycznych, jak zagroda militarna, bo o takiej pomyśleli i myśleć oni odtąd i nadal będą sami.

Do tego wieńca sprzymierzeńców zaliczają oni Austro-Węgry i przyszłą Polskę. Nie znaczy to wcale, aby pragnęli oni ich siły, a tembardziej sojuszów między sobą, powiedzieliśmy już wyżej, że taki sojusz musiałby zawsze mniej więcej, później czy wcześniej obrócić się przeciwko głównemu opiekunowi czyli samym Niemcom.

I o taki sojusz my Polacy niewątpliwie musimy zabiegać.

Ale w takim razie musimy wiedzieć ściśle, czy

interesa Austrii są bliższe z interesami naszymi, aniżeli z interesami Niemiec.

Takie przypuszczenie wydawałoby się nieprądopodobnem i jest ono politycznie dopuszczalnym z okresu przedwojennego i dotychczasowego wojennego. Niemcy z Austrią ciążą najwyraźniej już nie ku sojuszowi ale ku ścisłemu połączeniu się z Rzeszą, Węgrzy byli i są głównymi znów filarami przymierza Niemiec z Austrią. Na tych podstawach czy pewnikach przedwojennych oparte są kombinacje nawet o utworzeniu nowego państwa centralnej Europy.

Ale nie zapominajmy, że czynniki przedwojenne nie tylko podtrzymują zapal i cel, ale że one i ściągają się w czasie wojny, oraz w miarę osiągnięcia jej celu lub nawet tylko zbliżania się do niego tracą na znaczeniu.

Wojna ta podjęta była przez Austrię w chwili przeczuwanej zmiany tronu i przeciw przewidywanym w tej chwili zakusom rozbioru. Otóż czyimi siłami lub dzięki jakim przyczynom wewnętrznym, to mniejsza, ale to się nie stało i stać się nie może. A jeżeli stać się nie może i nigdy się nie stanie, to tymczasem główna przyczyna sojuszu Austrii i Węgier z Niemcami, po skończeniu wojny samo przez się przestanie działać. I wręcz naodwrot nie ściślejszy sojusz, ale raczej dążenie do samoistnej polityki i do nowych przymierzy może i będzie podawnemu w monarchji austriackiej obowiązywać.

A obowiązywać ono musi przedewszystkiem Węgry, które stanowisko swoje przez czas wojny nie obniżyły lecz raczej umocniły i to kosztem Austrii,

czyli tego czynnika, który w polityce swej ciąży ku cesarstwu niemieckiemu.

Obowiązywać też ono musi i Koronę, która weale nie myśli zrzec się swych praw dynastycznych na rzecz swego sprzymierzeńca.

A wtedy jedyną mądrą i wskazaną polityką będzie szukać sprzymierzeńców tam, gdzie przed wojną widziano najgroźniejszych wrogów, albo conajmniej bardzo odległych przyjaciół.

Takimi sprzymierzeńcami na półwyspie bałkańskim są dla Austro-Węgier i pozostaną nadal Bułgarzy.

Takimi sprzymierzeńcami od strony Rosji po utracie przyjaźni Rumunii dla Austrii, a zwłaszcza dla Węgier pozostaniemy my, t. j. przyszła Polska.

W Austrii, zwłaszcza w Węgrzech, musimy mieć i będziemy mieli po wojnie najściślejszego sprzymierzeńca pod warunkiem jednak, że Polska powstanie, jako naród zjednoczona i jako państwo niepodległa. Tylko wówczas bowiem unikniemy tarć i komplikacji, jakie w łonie ugrupowania tryjalistycznego nastroczałby stosunek z Niemcami, tylko wówczas bowiem możemy dać Austrii to, czego ona od nas wymagać ma prawo, mianowicie obronę przed zakusami Rosji, więcej, bo możliwość rozwoju ludów słowiańskich na gruncie kultury łacińsko-zachodniej, czemu Rosja przeciwstawia zarówno wobec nas, jak i wobec ludów Austrii zakusy panslawistyczne—caro- i prawosławne.

Ale do skierowania polityki austriackiej i zarazem nastroju mieszkańców Polski na tę drogę potrze-

ba traktowania sprawy polskiej nie, jako ugody zawartej z koroną przez Galicję, ani też rozciągania i zamykania jej w ramy nowej formy tryjalistycznej.

Trzeba znowuż mieć odwagę wyznać otwarcie, iż sprawa polska jest sprawą stosunku historycznej i politycznej świadomości polskiej nie do jednego mocarstwa, jakim jest nawet najbliższej i najbardziej duchowo zespolona z nią Austria, lecz do trzech mocarstw — Austrii, Rosji i Niemiec, że tylko w tym kompleksie mocarstwowym, a nie w wątku i splocie interesów austriacko-węgierskich może być rozwiązana, i że takie jej rozwiązanie, a nie inne wyjść może na korzyść przede wszystkim Austrii wobec wspólnych wrogów jej i zarazem Niemiec.

I do takiego postawienia kwestji wzywamy polityków galicyjskich, jeżeli naprawdę uważają się za to, czem nakazała siebie uważać od początku swego istnienia reprezentacja polska w Galicji — nie przedstawicielstwem polityki t. zw. krajowej czyli galicyjskiej, lecz przedstawicielstwem interesów ogólnonarodowych.
